№ 19 WARSZAWA, DNIA 11 MAJA 1912 ROKU ROK II



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

HERKULES.

Ciąg dalszy.

Wieść o jego przybyciu rozeszła się szybko pomiędzy pasterzami. Zbiegli się wszyscy go powitać:

— Witaj w gronie naszem!

— W samą porę przybywasz! Słyszeliśmy już o twej sile i odwadze, może obronisz nas wreszcie i zwyciężysz ogromnego lwa, który trzody nasze napada, szarpie i najpiękniejsze sztuki porywa.

— Coś nieziemskiego jest w tej bestji!

— Nie nam się mierzyć ze lwem ze wzgórza Kiteronu!

Uprzejmie odpowiadał Herkules na powitanie pasterzy i ani jednem słówkiem nie wspomniał że ojciec przeznaczył go na ich zwierzchnika.

— Gdy pokonam lwa ze wzgórza Kiteronu, sami mnie swym zwierzchnikiem obwołają i wtedy milszym im będę i z ochotą słuchać mnie będą—rzekł do siebie.

Gdy noc nadeszła, obejrzał troskliwie swą wspaniałą maczugę z drzewa oliwnego i ruszył w stronę wzgórza.

Lew przebudził się ze swej dziennej drzemki i głośnym rykiem, takim, że najśmielsi drżeli jak dzieci, oznajmił, że wychodzi na łowy.

Herkules ruszył śmiało w stronę skąd dochodził ryk.

Zaledwo uszedł kilka kroków, ogromne lwisko wysunęło się z poblizkiego lasu i ogniem ziejące ślepie utkwiło w młodym pasterzu.

A śmiałek silniej tylko ścisnął maczugę w ręce, jednym skokiem dopadł lwa, potężnem uderzeniem strzaskał mu ogromny czerep, a stało się to wszystko tak prędko, że ugodzony lew padł, jak piorunem rażony.

Gdy na złocistym rydwanie wyjechał

Apollo na niebo, ze wzgórza Kiteronu schodził Herkules, podpierając się okrwawioną maczugą, a na plecach jego wisiała skóra lwa w nocy zabitego. Łeb lwi okrywał głowę Herkulesa, a na piersiach widać było w misterny węzeł związane potężne łapy z długiemi pazurami.

I wybiegli naprzeciw niego pasterze — okrzyczeli go swym zwierzchnikiem, dziękowali mu, że wybawił ich od wroga i w tryumfie sprowadzili go na dół.

3. Bogom na pomoc.

W dawnych czasach nietylko ludzie, ale i bogowie na Olimpie prowadzili walki.

I nic dziwnego. Czasem tak się poplątały sprawy bożków, że tylko z orężem w ręku można było dojść do jakiego takiego ładu.

Często też zdarzało się, że gdy Zeus gromowładny wymierzył sprawiedliwość, niektórzy bogowie, dotknięci jego gniewem, czuli się pokrzywdzeni i podnosili bunt, który zaledwo po krwawej walce można było poskromić.

Właśnie w czasie, gdy Herkules pasł trzody swego ojca, powstał przeciw bogom syn Gei, [1]) olbrzymi, przerażający Tyfon. Sto głów smoczych z ogromnemi językami i zębami sterczało na jego cielsku, dym i ogień buchał z jego paszcz, płomienie żarzyły się w jego oczach. Potwór ten to ryczał, jak gromada lwów, albo wołów, to kwilił jak szczenięta. Szalonym pędem unosił się przez góry i doliny, wszędzie szerząc zniszczenie. Zdawało się, że koniec świata nastąpi lada chwila.

Do walki z nim stanął sam Zeus.

Niebo i ziemia zadrżały, gdy potężny Król bogów zaczął razić wroga swego piorunami. Ostatecznie Zeus zwyciężył i strącił Tyfona do Tartaru. [2])

[1]) Bogini ziemi [2]). Piekło podziemne

Zaledwo jednak potężna brama Tartaru zamknęła się za Tyfonem, stanęli do walki nowi wrogowie, olbrzymi Giganci. Każdy z tych potworów miał siłę ogromną i był śmiały bez granic. Każdy z nich był wysoki jak góra, a zamiast nóg miał dwa ogromne węże.

Giganci zebrali się na polach flegrejskich w Macedonii i rozpoczęli walkę. Aby dostać się na Olimp stawiali górę na górze, zapalali dęby, rozpalali skały i ze straszną siłą rzucali te pociski na mieszkania bogów.

Na Olimpie zapanowała trwoga, która tembardziej jeszcze wzrosła, gdy zauważono, że pioruny Zeusa Gigantom nie czynią żadnej szkody: zaledwie który upadł na ziemię, wracało mu nowe życie i ze zdwojoną zaciekłością ruszał do walki.

— Pomocy, pomocy nam trzeba!

— Potrzeba, aby ktoś tam z ziemi dopomógł nam w walce!

— Jeżeli nie weźmiemy Gigantów w dwa ognie, nie zmożemy ich!

Czuł to sam Zeus i gniewnie targał wąsa i jeżył brodę..

Nagle wzrok jego padł na Herkulesa, który oparłszy się na swej potężnej maczudze stał ubrany w lwią skórę i poglądając na liczne trzody, rozmyślał, jakim by tu nowym czynem przysłużyć się ludzkości.

— Ten jeden chyba mógłby nam pomódz!—pomyślał Zeus i zaraz wysłał na ziemię Merkurego.

Śpieszył się Merkury zawsze, ale dziś gdy takie niebezpieczeństwo zagrażało Olimpowi, prześcignął sam siebie, szybko jak myśl przebiegł przestrzeń z Olimpu do Teb i stanął przed Herkulesem.

— Na pomoc, Herkulesie! Olimp w niebezpieczeństwie!

— Jakże ja, śmiertelny, mogę udzielić pomocy nieśmiertelnym?

— Możesz! Tak chce przeznaczenie!

a iżbyś godnie mógł stanąć do walki, oto Atena przysyła ci strzały, Hefajstos złoty sajdak, a Hermes miecz! Ale śpiesz, śpiesz, bo niebezpieczeństwo wielkie.

cił taką ogromną skałę w Olimp, że odwieczna siedziba bogów zadrżała.

Domyślił się Herkules, że dotknięcie ziemi uzdrawia Gigantów. Odłożył łuk



.... w jednej chwili podniósł Giganta wpół i zdusił...

Nie mógł Herkules odmówić takiemu wezwaniu i ruszył na plac boju. Przybył w samą porę, bo bogowie, walcząc bez wytchnienia, potrzebowali chwili wypoczynku. Stanąwszy na uboczu wypuścił pogromca lwa pierwszą śmiercionośną strzałę.

Padł dowódca Gigantów, ale zaledwo dotknął się ziemi, powstał znów i rzuił taką... i strzały na bok a z gołemi rękami ruszył do walki: w jednej chwili pochwycił Giganta wpół, podniósł w górę i zdusił, aby najstraszniejszy ten przeciwnik nie dotknął ziemi, a potem ciała wodza używał w dalszej walce zamiast maczugi.

Wypoczęli też i bogowie i znowu stanęli napowrót do boju.

Zaledwo który z Gigantów padł, spadała na niego ogromna wyspa rzucona z Olimpu i przywalała go tak, że nieszczęśliwiec więcej ruszyć się nie mógł.

Ostatniego położył na ziemi Herkules wodza, a Zeus przywalił go zaraz wyspą Sycylją.

I do dziś dnia olbrzym leży pod tą wyspą i ciągle jeszcze kurczy się w gniewie, ziemię wstrząsa i z krateru Etny ogniem i żarem wybucha, nie może się jednak wyzwolić.

D. c. n.

Gustaw le Rouge.

NIEWIDZIALNI.

Ciąg dalszy.

Nigdy się nie dowiedziałem, o co im chodziło; jednak, mniej więcej po godzinie w ciągu której przeszedłem tortury śmiertelnego oczekiwania, ohydny tłum zaczął się rozpraszać. W pośród szumu skrzydeł, jaskinia zaczęła się opróżniać, świecących punkcików było coraz mniej — wreszcie znikły zupełnie.

Zostałem sam w ciemności tak czarnej, że prawie dotykalnej.

Jeśli to nie było wybawieniem, to przynajmniej odpoczynkiem.

Wywnioskowałem, że zapewne Erloory, zwierzęta wyłącznie nocne, udały się na zwykłe łowy. Otaczająca mię cisza i samotność przyniosły mi wielką ulgę; byłem jednak straszliwie zmęczony i bardzo wygłodniały. Sen mię morzył, lecz obawa nie dawała mi usnąć.

Pomyślałem, że możeby się dało przetrzeć na skale bazaltowej, przy której stałem, moje więzy—i zacząłem nad tem pracować.

Już mi się udało oswobodzić lewą rękę i wyprostowałem ją w powietrzu, kiedy otrzymałem w nią uderzenie tak mocne i dotkliwe, iż krzyknąłem z bólu. Uczułem krew płynącą po ręce — i patrzcie: dotąd noszę ślady szponów Erloorów!

Tu Robert wyciągnął rękę, na której widniało pięć czerwonych blizn.

— Nie zauważyłem—mówił dalej—że za mną siedziało przyczajone jedno stworzenie, widocznie dla pilnowania mnie. Odwróciwszy się, spotkałem się z niem oko w oko. Źrenice jego błyszczały gniewem; groźnem mruknięciem ten potwór nakazał mi zaprzestanie usiłowań ucieczki.

Zrozumiałem go i nie próbowałem już zrywać więzów, w końcu znużenie mię ogarnęło... i usnąłem.

Zmęczenie doprowadzone do najwyższego stopnia, zwycięża wszelkie uczucia, tak moralne, jak fizyczne. Widziałem to niezliczone razy—i fakt ten, że artylerzyści wy-

czerpani z sił, usypiają przy swych działach wśród huku bitwy, z lontem na dłoni—jest dla mnie zupełnie zrozumiałym.

Gdy się obudziłem, jaskinia była wciąż równie cichą; lecz zdawało mi się, że nikły brzask jutrzenki zastąpił poprzednią ciemność—mogłem już w tym mroku odróżniać zarysy stalagmitów, podpierających sklepienie.

Ze wszystkich stron dochodził mię jakiś pomruk głuchy, rytmiczny a ciągły, niby warczenie oddalonych motorów. Nie wiedziałem zrazu, czemu to przypisać; dopiero później poznałem, iż było to chrapanie wstrętnych Erloorów, które za nadejściem dnia powróciły do jaskini i spały, zawieszone na nogach, głowami na dół, we wklęsłościach skał.

Potwór, będący na straży przy mnie, zdrzemnął się również i słyszałem tuż po za sobą jego głośne chrapanie.

Sen powrócił mi siły; rozmyślałem nad tem, czyby podczas snu moich prześladowców, nie spróbować raz jeszcze ucieczki, gdy usłyszałem nad sobą łopot skrzydeł, płomieniejące oczy zabłysły przedemną... Uczułem, że coś ciągnie moje więzy, a chrapliwy głos wymówił:

— Pójdź!

Poznałem głos Erloora, którego oswajałem i który wydał mię swoim. Nauczyłem go wymawiać kilka słów z mowy marsyjskiej, a rozumiał prawie wszystkie.

— Dokąd chcesz mię zaprowadzić?—spytałem.

— Pójdź! — powtórzył, bijąc niecierpliwie skrzydłami.

To mówiąc, zdjął więzy z moich nóg, tak, że mogłem iść, lecz ręce pozostały skrępowane. Pod nogami czułem szczątki kości zwierzęcych, czasem zapadałem do kolan w pokład suchego guana, które było warte miljony i mogło zbogacić niejedno przemysłowe przedsiębiorstwo.

Szliśmy długim, podziemnym korytarzem, w końcu którego widać było słaby brzask światła dziennego.

Rozróżniałem już ściany, czarne i gładkie, zapewne z bazaltu. Mój dozorca nie leciał, lecz podskakiwał ciężko obok mnie, a skrzydła jego wlokły się po ziemi, jak brudny płaszcz; zauważyłem też, że w miarę zbliżania się do światła, ruchy jego były coraz mniej pewne.

Nie mogłem się wyrzec szalonej myśli, iż żałował teraz swej zdrady i chciał ją okupić daniem mi sposobności do ucieczki.

— Dokąd mię prowadzisz? — spytałem tonem rozkazującym, jak wtedy, kiedy był moim niewolnikiem w wiosce marsyjskiej.

Podniósł do góry swą łapę, zaopatrzoną w pazury i potrząsnął nią, dając mi do poznania, iż nie może o tem mówić.

— Czy chcesz mię zabić?—pytałem z całym spokojem.

Poruszył głową przecząco. Przykro mu było widocznie, że idę tak odważnie, lecz widziałem, że już ani słowa nie wyciągnę z niego.

Gdzież i jaki może być cel naszej drogi? Gniew mię ogarnął—krzyknąłem więc:

— Chcę stąd wyjść! Każę ci, abyś mię natychmiast wyprowadził!

I rozpaczliwym wysiłkiem rozluźniłem naderwane wczoraj więzy. Rzucił się wtedy na mnie, a ja wolną prawą pięścią uderzyłem go z całej siły w piersi.

Zachwiał się i upadł, plącząc nogi w swych skrzydłach.

Przez chwilę miałem się za zwycięzcę — lecz padając, pochwycił jedną z kul kamiennych, zakończających lasso, krępujące mi nogi: sznur się zacisnął mocniej, aż uczułem ból.

Zarzechotał wtedy strasznym śmiechem, który wykrzywił jego twarz ohydną.

— Dobrze!—rzekłem — nie chcesz powiedzieć dokąd idziemy—nie pójdę dalej!

I zatrzymałem się natychmiast. Chciał mię pociągnąć z sobą, lecz pomimo wszelkich

wysiłków, nie mógł tego dokazać. Wtedy wskazał na koniec galerji, gdzie widać było nieco światła i wymówił słowo «jeść» jedno z pierwszych, jakich go nauczyłem.

Zrozumiałem więc, że chce mi dać coś do zjedzenia; byłem zbyt głodnym, ażeby mu się dłużej opierać i poszedłem za nimi

Nie mogłem się nigdy dowiedzieć, czy to zrobił ze swego natchnienia, czy też z czyjegoś rozkazu.

Nie uszliśmy dwudziestu kroków, kiedy się stało znacznie jaśniej: na ziemi widać było mnóstwo kości dawnych i świeżych, oraz odpadków wszelkiego rodzaju.

Światło najwidoczniej raziło wzrok Erloora: szedł teraz powoli, mrugając oczami, ze schyloną głową, ja zaś szedłem coraz to prędzej, pociągając go za sobą.

Jak to przewidziałem, po niejakim czasie wyrwał mi się i zatrzymał w miejscu, chowając głowę pod skrzydło.

Wydałem okrzyk radości i zacząłem biedz jak szalony, wiedząc, iż w świetle dziennem będę zabezpieczonym od jego pościgu. Lecz on nie próbował nawet tego; siedział na ziemi, skurczony i najzupełniej nieruchomy.

Ja zaś pędziłem, jak gdybym miał skrzydła, pewny, że ten otwór, jaśniejący blaskiem dziennym, jest dla mnie wyjściem z niewoli.

Jakże gorzki zawód mię czekał! To, co brałem za wyjście z korytarza, było tylko olbrzymiem oknem, mającem z drugiej strony ścianę prostopadłą, najzupełniej gładką! Wychyliwszy się przez nie, ujrzałem, o jakieś tysiąc stóp pod owem oknem, żółtawe, mętne fale burzliwej rzeki.

Niepodobna było wydostać się stąd bez pomocy skrzydeł! Rozpacz mię ogarnęła... Byłem tym zawodem tak znękany, iż uczułem łzy w oczach.

(D. c. n.).

(Tłom. z fran. *K. W.*).

Wisielec bez sznurka.

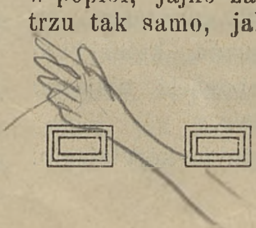
Zmocz długą i miękką nitkę w mocnym roztworze soli kuchennej i wysusz ją na słońcu; potem namocz ją powtórnie i znów wysusz—i tak do trzech razy.

Przygotowanie tej słonej nitki zachowaj w sekrecie, ażeby towarzystwo przyjęło ją za nitkę zwyczajną. Wtedy możesz pokazać następującą sztukę: przywiąż do jednego końca tej słonej nitki możliwie lekki pierścionek, drugi zaś koniec przyczep do brzegu stołu, tak, ażeby się nitka zwieszała na dół.

Teraz zapal nitkę od dołu. Spłonie natychmiast doszczętnie, ale przed zdumionem okiem widzów, pierścionek będzie wisiał w powietrzu na spopielonej nitce Spalą się jedynie włókna roślinne nici, osad zaś słony na ich powierzchni pozostanie nietknięty: on to będzie podtrzymywał poprzednie położenie pierścionka.

To samo doświadczenie, znane pod nazwą „wisielca bez sznurka”, można skomplikować.

Weź kwadratowy kawałek batystu i zrób z niego rodzaj hamaku na 4 nitkach. Materjał i nitki nasyć solą po kilkakrotnie i następnie wysusz. Hamak zawieś tak samo, jak zawieszałeś pierścionek, włóż w środek jego worka pustą skorupę jajka i podpal tak hamak, jak i wszystkie cztery nitki — jednocześnie i szybko; niebawem zamienią się one w popiół, jajko zaś będzie wisiało w powietrzu tak samo, jak poprzednio pierścionek.



REGALJA KRÓLEWSKIE.

(Przygody profesora Nickiego i jego famulusa, Pawełka).

Opowiedział Edmund Jezierski.

Ciąg dalszy.

Śpiewano pieśni przeróżne, jak:

Jedzie Marysia, jedzie,
Drużynę swoją wiedzie,
A starostowie za nią,
Jako za wielką panią.

to znów:

A prowadźże nas Boże,
Po tej szczęśliwej drodze,
Do kościoła świętego,
Do stanu małżeńskiego.
Obejrzyj się Marysiu,
Obejrzyj się za sobą,
Jak ręce załamuje,
Matuleńka za tobą...

Wjechano wreszcie między chaty wsi, na końcu której widniał biały kościołek, czerwoną dachówką kryty, z wysmukłą wieżyczką.

Przed chaty wylegli wszyscy prawie z wioski, ciekawie przyglądając się jadącym weselnikom. A tu naraz z wozów jak huknie śpiew donośny:

A czegóż na nas patrzycie,
Nie wieziemy czarownicy,
A wieziemy grzeczną panią,
Jadą przed nią, jadą za nią...

A gdy już zbliżyli się do kościoła, ton pieśni zmienił się na rzewniejszy, żałośliwszy:

A jak pojedziesz przez miasto,
Będą ci mówić: niewiasto.
A widzisz ten Boży kościół?
Zadrży na tobie cały strój,
A widzisz Maryś ten ganek,
Tam ci zawieziesz swój wianek.
A wyjdźże książę z pokoju,
Ciężko dziewczynie w tym stroju,
A wyjdźże książę z pałacu,
Ciężko dziewczynie od płaczu.

Stanęli wreszcie przed kościołem. Przez otwarte na oścież drzwi kościelne widać było oświetlony jarzącemi świecami ołtarz wielki, przed którym stał już i czekał, siwy jak gołąb, proboszcz.

Orszak weselny ustawiać się zaczął parami w ordynku przed kościołem, przyczem znów rozbrzmiewał śpiew chóralny:

Oj parami, panowie swatkowie, parami,
Bo wyglądają ci dobrzy ludzie za nami,
Oj czegóż wy moi ludzie wyglądacie,
Oj ponoć wy takiego wesela nie macie?

Ustawiwszy się w porządku, w uroczystem milczeniu orszak cały wkroczył do kościoła, dążąc wprost przed wielki ołtarz.

Z chóru rozległ się uroczysty odgłos organów, a kościół wnet zapełnił się tłumem ciekawych.

Ba i nie dziwota... Toć to największy bogacz na okolicę, wójt, córkę za mąż wydaje!

Ucichły wreszcie organy i ksiądz proboszcz rozpoczął przemowę do nowożeńców, poczem przystąpił do ceremonji ślubu.

Skończyła się wreszcie. Organista na chórze wysilał całą swą sztukę, by pieśń weselna wyszła jak najpiękniej, podczas gdy weselnicy gwarną gromadą wychodzili już z kościoła. Jeden wójt tylko przyzostał trochę w kościele, zapraszając proboszcza do siebie, na ucztę,

Z wesołym pogwarem zajmowali wszyscy miejsca na wozach, powożący parobcy trzasnęli z batów, konie ruszyły z miejsca galopem i wozy potoczyły się szybko po drodze pełnej kurzu.

Z pierwszego wozu rozbrzmiały dźwięki muzyki, a wnet potem rozległ się i śpicw chóralny:

> Jużeś nie nasza Marysiu,
> Jużeś nie nasza, nie nasza,
> Zajechały cztery konie
> Piąta kolasa, kolasa.
> Jużeś ci nie nasz Jasieńku,
> Jużeś ci nie nasz, oj nie nasz,
> Zaszedł kasztanek, bułanek,
> Którego od ojczeńka masz.
> Oj da moja Marysiu,
> Jużeś ty jest moja,
> Oj bom cię wyprowadził,
> Za rączkę z kościoła.
> Wyszła z kościołeczka,
> Już ci nie dzieweczka,
> Ino się jej wiewa,
> Wstążka od wianeczka.

I tak rozbrzmiewały przeróżne pieśni weselne, mknąc hen, w dal, przez pola i łany.

Pawełek z ciekawością przyglądał się i przysłuchiwał temu wszystkiemu, a wójt, zwracając się do niego, rzekł:

— No cóż, chłopcze, jakżeż ci się podoba nasze chłopskie wesele?

— Bardzo... bardzo... odrzekł z zachwytem Pawełek.

— Dawniej — objaśniał mu wójt — był taki obyczaj, iż weselnicy wracając z kościoła wstępowali po drodze do karczmy... Stamtąd dopiero, po porządnem uraczeniu się trunkami, wracali do domu, i tam weselisko kończyli... Dzięki Bogu, teraz od pewnego czasu zwyczaj ten już porzucają ludzie w naszej okolicy. Bo warto zachowywać tylko to co stare a dobre, a co złe było i szkodliwe, wyplenić starannie!

Tymczasem zajechali przed dom wójtowy. Musieli tam zatrzymać się, gdyż wrota na podwórze zamknięte były.

I znów rozbrzmiał śpiew:

> Założono nam wrotka,
> Szabeleczką ze złotka,
> Któż odkładać nam będzie,
> Gdy Jasieńka nie będzie?
> Przyjedzie Jasio z Rusi,
> Otworzyć wrotka musi,
> Oj! puśćcie nas tam, puśćcie,
> Już nam przecież otwórzcie.
> Słoteńka na nas bije,
> Sukmanka na nas gnije,
> Choćby i druga zgniła,
> Byle Marysia była.

A wnet potem:

> Pani matko wyjdźże do nas,
> Jak nie wyjdziesz, cóż tu po nas?
> Stąp prawą nogą na progu,
> Będzie szczęście, chwała Bogu.

(D. c. n.)

Ernest Seton Thompson

DZIELNY ROGACZ

(BARAN GÓRSKI).

Ciąg dalszy.

Drugiego dnia pojawiły się w okolicy tej niespodzianie dwa barany. Jeden z nich był pięknym, wielkim zwierzem, nie ustępującym w niczem Rogaczowi, chyba tylko mniejszemi rogami, a drugi, był to Krętorożek! Przybysz sapnął wyzywająco i zbliżywszy się, wierzgnął nogami, jakby chciał powiedzieć: „jestem lepszy od ciebie i musisz mi ustąpić."

Oczy Rogacza zabłysły ogniami. Potężny jego kark skurczył się, podrzucił brodą do góry i na dół, potrząsnął rogami, położył uszy w tył i skoczył na przeciwnika.

Rozległ się trzask zetkniętych rogów, walka rozpoczęła się: przybysz, stojąc wyżej, miał na razie przewagę, ale po chwili oba barany cofnęły się, zmierzyły rozwścieczonemi oczami odległość i stanąwszy mocno na zrębach skalnych, natarły na siebie gwałtownie, aż posypały się odłamki rogów. Wszakże obaj byli w kwiecie wieku i pełni sił!

Tym razem zwycięstwo przechylało się na stronę Rogacza. Stało się to już pewnem przy drugiem uderzeniu. W chwili bowiem gdy się odwrócił, zaczepił się jego lewy róg o prawy przeciwnika, tak, że ten pomimo silnego uderzenia w bok nie stracił równowagi, byłto jego rzeczywisty ratunek, gdyż żaden baran niema tyle siły odpornej w tylnej części ciała, aby znieść gwałtowną napaść. W ten sposób zaś, Rogacz, zaczepiony rogami odzyskał szybko przytomność i stanął na nogach właśnie w chwili, gdy wróg jego wstrząśnięty własnym atakiem, stracił równowagę i padł w przepaść z brzegu skały. W kilka chwil potem odgłos spadającego w przepaść ciała oznajmił, że Krętorożka spotkał los, jaki on sam szykował swemu bratu mlecznemu. Walki baranów muszą być uczciwie prowadzone. Tymczasem Krętorożek, nie czując się na siłach do otwartej walki, usiłował użyć podstępu i sam wpadł we własne sidła.

Owca górska nie może wytrzymać spadku z wysokości 200 stóp!

Teraz zwrócił się Rogacz z podwójną wściekłością przeciw drugiemu wrogowi i wkrótce ten leżał zraniony na ziemi. Podniósł się jednak i popędził tam, skąd przybył. Rogacz gonił go przez chwilę, zmuszając do dalszej ucieczki, i dopiero,

gdy znikł mu z oczu, powrócił tryumfująco do stada, by żyć z niem dalej spokojnie i szczęśliwie.

XI.

Myśliwy Scotty wyniósł się z tego okręgu, gdyż warunki polowań stały się coraz uciążliwsze. Owiec było coraz mniej, a jednocześnie zasłyszał o nowych kopalniach złota w Kolorado i tam pociągnął, pozostawiwszy swą starą chatę.

Od tej pory przeszło pięć lat szczęśliwych dla owiec, które korzystając z nieobecności wroga, mogły rozmnażać się swobodnie i obficie. Przez te pięć lat Rogacz był panem całej okolicy, zawsze pełen siły i bystrości. Stado swe prowadził w myśl swej matki. Przedewszystkiem unikał wszelkich niżej położonych płaszczyzn i lasów, wszędzie bowiem było pełno kryjówek, gdzie mogli czyhać różni wrogowie, co nie zapewniało bezpieczeństwa natomiast otwarte, wietrzne szczyty dawały zawsze rękojmię, że tam żadne zwierzę nie mogło ich napaść niepostrzeżenie. Nawet i solne miejsca znajdowały się na górze, tak że owce mogły zaspokoić swe potrzeby bez niebezpiecznych wędrówek. Uczył on swe stado, by nigdy nie wędrowało po grzebieniu szczytowym, lecz trzymało się jednej strony, tak żeby mogło zbiedz niepostrzeżone. Pozatem zrobił on jeszcze jedno ważne odkrycie, mianowicie: ukrywanie się.

Poprzednio wszystkie owce miały zwyczaj ucieczki w chwili, gdy zauważyły myśliwego, same niespostrzeżone, ale to było dobre w czasie, gdy posiłkowano się łukiem i strzałą.

Obecnie, gdy dalekonośne, wielonabojowe strzelby zapanowały na świecie, było to zupełnie bezowocne. Rogacz nauczył się więc nowego sposobu: oto starał się wtedy zachować cichuteńko, położywszy się na skale i od niego przyjęły ten zwyczaj wszystkie owce. W dziewięciu na dziesięć wypadków udało mu się oszukać myśliwego.

Wiadomo, że dla gromady jest lepiej, jeśli czasem obejmie panowanie nad nią despotyczny ale mądry władca, zapewnia to lepszy rozwój.

To też i ukazanie się Rogacza wśród owiec było chwilą epokową. Odznaczał się on bowiem stanowczo wyższą inteligencją. Potomstwo jego co roku powiększało się i opanowało cały szczyt góry Baraniej, a było ono zdrowsze i mądrzejsze niż poprzednie owce górskie a przybywało ich z każdym rokiem więcej, dzięki, naturalnie, wywędrowaniu Scottego.

Ten pięcioletni okres pozostawił ślady i na zewnętrznym wyglądzie Rogacza: ciało zaokrągliło mu się, a mięśnie nabrały mocy niebywałej. Głowa jego pozostała zawsze ta sama, z białą plamką na nosie, a szlachetne oczy błyszczały wciąż młodzieńczym zapałem. Ależ jak zmieniły się jego rogi! Przedtem były niezwyczajne, obecnie—jedyne. Potężne łuki, w których zawarta była opowieść całego jego życia, tworzyły teraz całe koło i ćwierć; mówiły one o latach radości i nędzy, a jeden prążkowany skurczony pierścień wspominał o roku strasznej zarazy, od której padały jagnięta i ich matki masami. Nawet on sam zachorował, tylko dzięki stalowym swym siłom podźwignął się, ale pierścień roczny na jego rogach pozostał tego pamiątką na wieczne czasy, gdyż nie przyrósł zupełnie i dla tych, którzy to czytać umieli, świadczył jak pomnik, o nędzy, jaką owce w tym roku przeszły (1889).

XII.

Tymczasem stary myśliwiec powrócił i zamieszkał napowrót w opuszczonej chatce. Zastał ją bardzo zniszczoną, dach

pokryty darniną zapadł się, ale Scotty patrzał na to obojętnie i wcale nie zabierał się do naprawy, zajmowała go bowiem tylko myśl, jak przedstawiają się teraz widoki polowań. Wziął więc fuzję i poszedł na dobrze mu znane pasmo górskie. Odrazu spostrzegł dwa wielkie stada gruborożnych owiec i postanowił pozostać. Teraz dopiero zaczął naprawiać swą chatę, co przejęło strachem i trwogą wszystkie zwierzęta.

Scotty przez ten czas postarzał się bardzo: wprawdzie ręka jego była równie silna i pewna, ale oczy straciły dawną bystrość i musiał nieraz posiłkować się lunetą.

Następnych tygodni pooglądał starannie wszystkie ściany górskie i niejednokrotnie oczy jego spoczęły na potężnych kształtach Rogacza. Gdy go ujrzał poraz pierwszy, wykrzyknął: „Nieba! cóż za rogi!" a potem dodał: „będą moje."

I od tego dnia zabrał się do spełnienia danego sobie słowa. Ale owce, które przed latami gonił Scotty, były bardziej nieostrożne niż obecne i przeszły miesiące za miesiącami zanim zobaczył z blizka pożądanego barana. Rogacz widział wprawdzie myśliwego nawet z niewielkiej odległości, ale ten o tem nie wiedział.

Niejednokrotnie widział Scotty barana na wysokim zrębie skalnym, ale choć czekał godzinami cierpliwie, nie ujrzał go bliżej, czasem rzeczywiście baran wywędrowywał, ale najczęściej krył się w bezpiecznem miejscu niedaleko myśliwego i sam bezpieczny, obserwował jego ruchy.

Właśnie w tym czasie odwiedził Scottego pewien hodowca bydła, Lee, wielki amator psów i koni. Psy te nadawały się również do polowań i Lee zaproponował staremu myśliwcowi psów tych użyć na polowanie na barany, na co Scotty zgodził się chętnie, żądał tylko, aby poczekać, aż ukaże się gdzie Rogacz.

XIII.

W górach na południe od Szczytu Baraniego, rzeka Yak wypływa z głębokiego jaru, mającego przynajmniej 500 stóp głębokości. Bezpośrednio zaś na południu leży pagórkowata dolina, łącząca się z jarem rzeki Yak i w końcu wznosząca się jako długie wzgórze ponad łożyskiem szumiącej rzeki.

Dolina ta stanowi dobre pastwisko owiec i zdarzyło się, że właśnie na tę polankę trafił Scotty ze swym znajomym Lee i trzema jego psami wilczemi w chwili, gdy Rogacz pasł się na niej spokojnie. Ostrożnie przystanęli i zbadawszy położenie, podążali w ukryciu ku upatrzonemu punktowi, ale stała się zwykła rzecz: o spodziewanej zdobyczy ani mowy! Wprawdzie widać było ślady barana, ale jego ani widać ani słychać. Byłby znowu Scotty uwierzył, że się dał zwieść łudzącym śladom, gdyby nie psy, które zwęszywszy wszystkie zakątki, podskoczyły naraz naprzód z głośnem ujadaniem, poczem dało się widzieć potężne, szare zwierzę z białą gwiazdą. Był to Rogacz, cudowny baran górski. Przeskakując nizkie zarośla, skacząc po zrębach skalnych, przechylając się i kołysząc, bujając gibko, pewnie, błyszcząco poruszał swemi wielkimi rogami na głowie tak lekko, jak pani strojna kolczykami, a potem wskoczył w ukryte miejsce, gdzie stało jego stado i znikł.

Kule przelatywały mu około głowy, ale w tejże chwili wyskoczyły wszystkie trzy psy i zasłoniły wypadkiem sobą uciekającego barana więc zaprzestano strzelać.

(D. c. n.)

Tłom. *M. Arct-Golczewska.*

Notatki fotograficzne.

Ekspozycja. Jeżeli klisza w aparacie jest założona i przygotowana do zdjęcia, aparat powinien być szczelnie zamknięty i objektyw zasłonięty (zwykle migawką), ażeby klisza nie podlegała działaniu światła i nie zepsuła się.

Podczas zdjęcia odsłaniamy objektyw (np. otwierając migawkę), ażeby wpuszczone przez niego światło padło na kliszę i utworzyło pożądany obraz, znajdujący się wprost aparatu. Po wykonaniu tego objektyw zasłaniamy (zamykamy migawkę). Ilość czasu zużytą podczas zdjęcia na odsłonienie objektywu w celu utworzenia obrazu nazywamy ekspozycją, inaczej czasem wystawienia, lub czasem naświetlenia.

Jeżeli mówimy, że zdjęcie eksponujemy pół sekundy, to znaczy, że objektyw odsłaniamy przy pomocy migawki na pół sekundy, ażeby światło utworzyło na kliszy obraz. Ekspozycja bywa różnorodna. Jak długo jakie zdjęcie eksponować, można się orjentować po wykonaniu uważnem kilku różnorodnych zdjęć i wysłuchaniu uwag przy kupnie aparatu. Dobra ekspozycja jest bardzo ważną przy każdem zdjęciu. Napozór zdaje się ona trudniejszą czynnością, lecz fotografujący uważnie i zaczynający od zdjęć łatwiejszych, prędko wprawy w ekspozycji nabierze. Ekspozycja dłuższa lub krótsza zależy od warunków, na które należy zwrócić uwagę, a mianowicie: od silniejszego lub słabszego oświetlenia przedmiotu. Im przedmiot oświetlony silniej, tem eksponować należy krócej, im słabiej, tem eksponować dłużej. Zależy od silniejszego lub słabszego objektywu w aparacie. Im objektyw silniejszy, pod względem siły światła, tem eksponować krócej, im słabszy, tem dłużej; zależy od mniej lub więcej czułych klisz lub błon użytych przy zdjęciu. Im klisze lub błony czulsze, tem krócej eksponować, im mniej czułe — dłużej. Poczynający fotografować używa zwykle jednego i tego samego aparatu i objektywu do wszystkich zdjęć, powinien również dla ułatwienia ekspozycji używać zawsze jednego gatunku klisz lub błon średniej czułości, pozostanie więc tylko zmienne oświetlenie w różnych porach dnia, a dwa z wyliczonych trzech warunków będą zawsze jednakowe. Najlepiej wykonać można ekspozycję migawką, którą każdy aparat dobrze przygotowany posiada. Aparaty tańsze posiadają migawki, które tylko można nastawić na dwa rodzaje szybkości, na tak zwaną szybkość czasową, którą możemy regulować, t. j. przedłużać przez dłuższe lub krótsze przyciskanie guzika migawki i na momentalną, nieregulowaną szybkość, której przedłużać nie można bo trwa b. krótko i jest zawsze jednakową. Początkujący powinien zacząć, mając taki aparat, od zdjęć przedmiotów dobrze oświetlonych (widoków, osób, przedmiotów w ruchu) i zdejmować je, eksponując migawką nastawioną na szybkość momentalną. W ogóle dla wszelkich zdjęć dobrze oświetlonych, zdejmowanych w dzień jasny na otwartem powietrzu, nie wyłączając i zdjęć w niezbyt szybkim ruchu, będzie dobra ekspozycja taką momentalną migawką. Wówczas dostatecznem będzie migawkę nastawioną na odpowiedni znak przycisnąć i klisza się wyeksponuje. Przedmioty zaś źle oświetlone i zdjęcia w pokoju muszą być koniecznie wykonywane przez ekspozycję czasową. Podczas takiej ekspozycji czasowej należy się orjentować kiedy dłużej, a kiedy krócej eksponować i w tym celu należy nabyć wprawy lub pytać o wskazówki. Aparaty tańsze zwykle nie nadają się do wykonywania zdjęć bardzo szybkich, bo choć posiadają momentalną migawkę, ale nie chwytającą dostatecznie zdjęć w bardzo szybkim ruchu.

Aparaty droższe posiadają migawki dają-

ce się regulować dokładniej na wszelkie ilości czasu potrzebnego dla ekspozycji. Mają więc podziałkę odpowiednią dla nastawienia do zdjęć czasowych dłuższych, do zdjęć czasowych krótszych i do zdjęć momentalnych.

Momentalne zdjęcia w takich aparatach przed odpowiednie nastawienie migawki na skali mogą być regulowane na różne możliwe szybkości, a więc od $^1/_2$ sekundy do $^1/_{250}$ $^1/_{500}$ sekundy a w drogich aparatach nawet do $^1/_{1000}$ części sekundy. Takie dokładne regulowanie migawki ułatwia bardzo eksponowanie, bo dostatecznem jest nastawić migawkę na pewną pożądaną ilość czasu, przycisnąć guzik lub pompkę i zdjęcie zostanie wyeksponowanem. Dokładnie opisać wszystkie rodzaje migawek nie sposób, jak również ich regulowanie, gdyż jest ich zbyt wiele, należy zawsze żądać objaśnień przy kupnie aparatu.

Jak długo eksponować różne rodzaje, zdjęć trudno określić zdejmujący powinien najlepiej dochodzić: do tego wprawą, posiłkując się przytem wskazówkami osób doświadczonych. Po zatem jest wiele przyrządów niedrogich ułatwiających określanie czasu ekspozycji, a mianowicie angielski przyrząd „Wynna”, z polskich zaś najlepsze J. Świtkowskiego „Suwak” oraz E. Neumana „Foto”. Przy nabyciu każdego z tych przyrządów należy żądać objaśnień. Posiadający mało wprawy w określaniu ekspozycji powinien zdjęcia wykonywać podczas pięknej pogody, co ułatwia znacznie zadanie. Możemy też przy zdjęciach aparatem średniej dobroci, podczas ładnego, pogodnego dnia ekspozycję dobrze oświetlonych przedmiotów, zdejmowanych na dość czułych kliszach lub błonach określić mniej więcej w ten sposób:

Portrety osób, dzieci, spokojnie stojących lub siedzących, zdjęć w spoczynku zblizka, dalekich widoków jasnych, spokojnej wody eksponować od $^1/_5$ do $^1/_{20}$ sekundy.

Zdjęcia ludzi idących, zwierząt na pastwisku, bawiące się dzieci od $^1/_{15}$—$^1/_{50}$ sekundy.

Sceny uliczne z ruchem wozów i koni, pociągi kolejowe w znacznem oddaleniu $^1/_{30}$ do $^1/_{100}$ sekundy.

Szybko biegnących ludzi i szybko biegnące zwierzęta, pociągi kolejowe w bliższem oddaleniu, ludzi na rowerach, szybko płynące wody, morskie fale $^1/_{60}$—$^1/_{300}$ sekundy.

Ptaki w locie, konie podczas biegów wyścigowych, pociągi szybkie z blizka, skoki $^1/_{300}$—$^1/_{1000}$ sekundy.

Cyfry podajemy w przybliżeniu, gdyż stosownie do lepszych lub gorszych warunków mogą się zmieniać. Jeżeli aparat nie posiada szybkiej migawki, a jest ona do ekspozycji danego zdjęcia potrzebna, nie należy zdjęć wykonywać.

Eksponując, należy mieć na uwadze to, że lepiej zawsze jest eksponować cokolwiek dłużej niż krócej. Klisze lub błony za krótko lub zadługo eksponowane można przy wywołaniu i wykończaniu poprawić, lecz daleko łatwiej jest poprawić zadługo eksponowane. Różnice jednak niedokładnej ekspozycji nie mogą być zbyt duże. Do określania przybliżonego czasu ekspozycji powrócimy jeszcze w następnych notatkach.

K.

Odpowiedzi działu fotograficznego.

Józefowi i Zofji P. Nadesłane zdjęcia fotograficzne na ogół są udatnie wykonane. Widok młyna eksponowany zbyt krótko. Zdejmując widoki, należy nie tylko zwracać uwagę na dobre wykonanie zdjęcia, lecz i na wybór odpowiedniego punktu, z którego najkorzystniej zdjąć możemy. Każdy widok, każdy przedmiot z różnych punktów patrzenia i fotografowania przedstawia się rozmaicie.

Stefanowi i Wacławowi M. Nawet dobrze pokryta lakierem klisza, jeżeli została zbyt silnie zamoczona, zepsuje się.

ODWAŻNY KSIĄŻĘ.

Dzisiejszy Jerzy V, będąc, księciem Walji, lubił bardzo pełnić służbę oficerską na statkach i co roku przepędzał na ich pokładzie kilka tygodni. Gdy był bardzo jeszcze młody i miał skromną rangę „midshipman'a” w służbie morskiej, podczas manewrów próbnych zdarzyło się, iż granat rzucony z jakiegoś oddalonego statku, padł o kilka kroków

od księcia, kręcąc się wraz z tlejącym lontem. Książę ujął go i wrzucił w wielkie naczynie, napełnione wodą, gdzie zgasł natychmiast. Dziś pocisk ten, złożony w pięknej szkatułce mahoniowej z miedzianemi okuciami, przechowuje się w kajucie, którą zajmował niegdyś Jerzy V.

Nie bez wzruszenia odwiedził on teraz tę kabinę, znajdującą się na krzyżowcu „Indostan" i noszącą na drzwiach skromną tabliczkę z napisem:

„Książę Walji
midshipman".

Drobiazgi.

Z głupim źle żartować. Czarnkowski, biskup poznański, będąc podagrą bardzo udręczony, zwykł był częstokroć przed wielkim bólem te słowa mówić:

— Przebóg! dobij kto, odpuszczę.

Zdarzyło się, iż leżąc w tej chorobie, nie miał przy sobie kogo innego, jak sługę, tatarzyna Kamarady; ten, pamiętając o tem, co pan mówił, ofiarował mu się z posługą swoją.

— Panie—powiada—daj ty mi bachmata, a każ mnie wolno do hordy przepuścić, a ja, cię zarznę, tak jak prosisz!

Zobaczył biskup, że z tym źle żartować.

— Dobrze—powiada: —Kamarady! ale każ tu komu pierw przyjść do mnie, a ja mu rozkażę, żeby cię po mej śmierci dobrze zaopatrzono i wolno puszczono.

Wyszedł Tatarzyn i zawołał kilka sług do pana. Ten, ujrzawszy służbę, dopiero otrzeźwiał z onego przestrachu i kazał tatarzyna do wieży wsadzić, a sam potem był ostrożniejszy.

* * *

Rondelki papierowe. Dla tradycyjnych miedzianych i nawet aluminiowych rondelków nastąpił w Anglji kres istnienia. W użycie zamiast nich wchodzić zaczynają... papierowe torebki, brzegi których zlepione są klejem z mąki i jajek. Angielki nie mogą wychwalić się tej nowości. Potrawy przygotowują się w nich prędko i bez walania się. Lekarze zaś znajdują potrawy, przygotowane w papierze, bardziej odżywczemi, Zapotrzebowanie na rondelki papierowe—olbrzymie.

Jedynym warunkiem gotowania potraw w torebkach papierowych jest piec gazowy.

KRONICZKA.

△ Zwrócono uwagę na to, ażeby wakacje w szkołach rozpoczynały się w pierwszych dniach czerwca, by dziatwa korzystać mogła w całej pełni z uroków lata. Wzamian tego rok szkolny ma się rozpoczynać wcześniej.

△ W Kijowie, lotnik Sikorski, na dwupłatowcu przeleciał z czterema pasażerami 100 wiorst w przeciągu dziesięciu godzin.

△ W Alpach, w lawinie śnieżnej zginęło 11 osób, należących do wycieczki związku turystycznego.

△ W ciągu ubiegłego tygodnia na rządowych linjach kolejowych w Królestwie Polskiem zaszły trzy katastrofy rozbicia się pociągów, przyczem odniosło bardzo poważne rany i potłuczenia wiele osób z pośród służby kolejowej.

△ W Moskwie odbył się obchód na cześć Krasińskiego.

△ Towarzystwo opieki nad dziećmi i przytulisk niedoli dziecięcej, połączone razem, urządzają we czwartek, dnia 16-go maja, sprzedaż niezabudki... Nie ulega zatem wątpliwości najmniejszej, że dziatwa zamożniejsza nie zapomni o swoich ubogich rówieśnikach.

„O własnych siłach“.

Z cyklu: **WIOSENNE NASTROJE**.

Tysiące gwiazd
w szafirach nieba błyska,
a lekki wiatr
przynosi kwiatów wonie,
księżyca blask
srebrzone światło ciska,
a cichy staw
jasnością jego płonie...
Drzemiący rząd
zgarbionych wierzb
nad strugą gdzieś się mgławi
i smukły liść
w strumieniu modrym nurza...

. . . .

W takową noc,
gdy w sercu mojem burza,
uciekam w las,
by moje bóle koić...

. . . .

Jak dziwny czar!..
rozpęka bólu kruża...
i idę w dom,
przestaję smutnie roić...

Juljusz Dzięciołowski.

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez «Serce Sokole».

Z następujących sylab ułożyć 17 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko przeciwnika Władysława Jagiełły.

Sylaby: re, wisz, na, u, ro, rew, ri, lub, el, kusz, ur, krzem, ka, a, wa, vo, ey, szu, glo, pol, dan, na, yak, ma, vus, iz. ca, nu, ti, ol, ge, na, na, jo, ka, ur, a, a, lin, ne.

Znaczenie wyrazów:

1. Imię córki poety polskiego.
2. Miasto w gub. Lubelskiej.
3. Rzeka we Francji.
4. Gatunek bawołów.
5. Pierwiastek chemiczny.
6. Wołacz po łacinie.
7. Miasto w Polsce.
8. Inaczej wiedza.
9. Bóg rzymski.
10. Naczynie, w którym składano popioły zmarłych.
11. Wnętrze kościoła.
12. Miasto we Włoszech.
13. Postać biblijna.
14. Rzeka w Polsce.
15. Chwała po łacinie.
16. Jezioro w Australji.
17. Miasto we Włoszech.

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez Jerzyka F. z ul. Komitetowej.

—o—

Z następujących sylab ułożyć 17 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko sławnego wodza wojsk polskich.

Sylaby: kusz, jów, burg, ki, na, da, tra, śląsk, gierd, wodzk, gja, mon, ryk, asz, gosz, bert, lis, ol. ki, zalc, wał, i, cy, ol, ry, ło, lo, lo, ul, ne, dłu, al, po, su, kra, i, kis, o, zo, e, try, sa, u.

Znaczenie wyrazów:

1. Miasto oblegane przez Włochów.
2. Imię męskie.
3. Historyk polski.
4. Bohater wojny Trojańskiej.
5. Mistrz krzyżacki.
6. Król żydowski.
7. Nauka o zwierzętach.
8. Miejsce lecznicze na Kaukazie.
9. Syn Giedymina.
10. Dawna prowincja polska.
11. Instrument muzyczny.
12. Bogini grecka.
13. Kraj w Polsce.
14. Miasto gubernialne w Królestwie Polskiem.
15. Prowincja w Niemczech.
16. Miasto, w którym odbył się chrzest Rosjan.
17. Miasto w Polsce, bogate w kopalnie.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 14-go nadesłali: Złośnica, Serce Sokole, M. Śledzik, Warszawianka, Apeliotes i Zefir.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej i zadania literowego z N-ru 15-go nadesłali: Złośnica, Serce Sokole, Junosza, Stokrotka, Apeliotes i Zefir, Jan Schaff.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej i zadania kratkowego z N-ru 16 go nadesłali: Ponury Sęp, Złośnica, Serce Sokole, Marcia Bergman, Jedynaczka, Junosza, Warszawianka.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej i zadania kryształowego z N-ru 17-go nadesłali: Armida, Polski Tułacz, Stefcia i Reginka W., Złośnica, Serce Sokole, Marcia Bergman, Stokrotka, Biały Orlik, M. Śledzik.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 15.

1.	Europa	Eliza Orzeszkowa.
2.	Litwa	
3.	Irena	
4.	Zamojski	
5.	Ateny	
6.	Orzechy	
7.	Romulus	
8.	Zorza	
9.	Etnografja	
10.	Szkocja	
11.	Zając	
12.	Karol	
13.	Obertyn	
14.	Wilno	
15.	Anglja	

Rozwiązanie zadania konikowego z Nr. 15.

1.	**S**ewilla	Szubert.
2.	S**z**ałas	
3.	Śl**u**sarz	
4.	Hra**b**ina	
5.	Irok**e**zi	
6.	Szerbu**r**g	
7.	Aksami**t**	

Nowoprzybywający prenumeratorzy otrzymać mogą dawniejsze roczniki „Naszego Świata" ***za pół ceny***.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Adres Administracji—Nowy-Świat 53.

Adres Redakcji—Ordynacka 8 m. 7.

Warunki prenumeraty.

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 2 kop. 50	rb. 3 kop. 50
Półrocznie	„ 1 „ 25	1 „ 80
Kwartalnie	„ — „ 65	— „ 90
Rocznie z dodatkami w oprawie	rb. 4 kop. 30	5 „ 30

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.
W Galicji kwartalnie kor. 2.40.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: **Marja Bujno-Arctowa**

Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 8